

Stanisław Stratijew

Po drugiej stronie

Stanisław Stratijew
Po drugiej stronie

Przełożyła Liliana Bardijewska

www.stanislawstratiev.org

Po drugiej stronie

© Stanislav Stratiev, 1992
© Liliana Bardijewska, 1994
© Aeolus Project, 2012

Wszystkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej publikacji nie może być powielana ani rozpowszechniana za pomocą urządzeń elektronicznych, mechanicznych, kopiujących, nagrywających i innych bez pisemnej zgody posiadacza praw autorskich.

OSOBY

Starzec I
Starzec II
Starzec III
Starzec IV
Stara Kobieta

a także: Cudzoziemiec, Przechodzień, Biznesmen, Policjant, Obywatele,
Fotograf, Sprzedawca.

Scena 1

Salon. Obrazy. Wzdłuż ścian regały z książkami. Stylowe żyrandole, dywany, mahoniowe szafy. Pośrodku – dwuskrzydłowe, masywne, rzeźbione, barokowe drzwi, również z mahoniu. Szczelnie zamknięte. Są centralnym punktem salonu, przykuwają uwagę i absorbują pamięć. Na proscenium, w rzeźbionym fotelu siedzi tyłem do nich i twarzą do widowni około siedemdziesięcioletni starzec. Jest zamyślony, przypomina sobie coś, jego słowa mogą być zarówno przywoływanyymi na głos wspomnieniami, jak i myślami.

STARZEC I. Ale było śmiechu... Małośmy z krzesel nie pospadali... Papuga wchodzi do pokoju... ledwo trzyma się na nogach... o, tymi drzwiami weszła... tylko że wtedy nie były tak zaryglowane... Nigdy ich nie zamykaliśmy... Zawsze stały otwarte na oścież... Ciągle ktoś wchodził albo wychodził... bez przerwy... Dzieciaki były małe i kręciły się po domu jak pędraki... *(po chwili)* No więc, papuga staje na progu, patrzy na nas spode łba i msza przed siebie... Słania się na nogach, co krok się potyka, ale twardo idzie, aż wreszcie na samym środku pokoju pada jak długa... W nas jakby piorun strzelił... A ona w najlepsze wstaje, stroszy pióra i różnym krokiem maszeruje dalej – prosto do klatki... Własnym oczom nie wierzyliśmy, bo przecież jeszcze przed chwilą była martwa. I to już od samego rana! Osobiście zgarnąłem ją na szufelkę i wyrzuciłem do kubła... Była prawie sztywna... Kiedy wróciłem z pracy, najmłodszy syn jeszcze popłakiwał. Nie mógł się uspokoić. Zupełna histeria, aż musiałem mu obiecać, że jeśli przestanie, to przywrócę papudze życie. Miałem zamiar po cichu wyskoczyć do sklepu i kupić taką samą... Mały przestał się mazać i spojrzał na mnie z niedowierzaniem... I w tym momencie papuga wchodzi do pokoju... O, tymi drzwiami... Zatacza się, ale twardo idzie... Rodzina zamarła i wpatrywała się we mnie z zabobonnym przestachem... Byli przekonani, że naprawdę ją wskrzesiłem... Kiedy się wreszcie wyjaśniło, co i jak, małośmy nie umarli ze śmiechu... po prostu żonie pomyliły się butelki i zamiast wody naląła jej mastiki... Wodę trzymaliśmy w takiej samej butelce... Papuga strzeliła sobie pięćdziesiąt gram i padła jak ścięta... Przeleżała w kubie na śmieci do obiadu, potem oprzytomniała i wmaszerowała do salonu... *(po chwili)* Ale było śmiechu... Mało z krzesel nie pospadaliśmy... *(po chwili)* Nie było dnia, żeby się nie pośmiać...

Albo siedzimy i udajemy bardzo zajętych, a tak naprawdę – słuchamy paplaniny naszej siedmioletniej córki... uwielbiała tłumaczyć młodszym braciom różne życiowe sprawy. Dajmy na to – przynosi ze schowka parasol i rozpoczyna demonstrację... "To jest parasol! – powiada. – Otwiera się i zamyka... Tak jak drzwi... Ale nie całkiem tak... Bo kiedy zamykasz drzwi – już nikt nie wejdzie. A kiedy zamykasz parasol – wchodzi deszcz"... A my kulimy się ze śmiechu, ukryci za gazetami. "Jedno i drugie ma rączkę – ciągnie dalej. – Ale nie należy ich ze sobą mylić..."

Albo wynajduje gdzieś starą pułapkę na myszy z przytrzaśniętym w niej pantoflem. "Pułapka i pantofel! – demonstruje. – Pantofel łapie nogi, a pułapka – myszy. Ale to nie to samo. Bo pantofel uwalnia nogi... kiedy kładą się spać... a pułapka myszy nie uwalnia... W pułapkę łapia się pantofle i myszy... Ale pantofel to jedno, a mysz to co innego. Pantofle się starzeją, a myszy – nie. Zjadają je koty..." A bracia siedzą cierpliwie, nic z tego nie rozumieją i patrzą na siostrę wielkimi oczami... "Myszy nie mam... ale mogę ją wam narysować... Bez głowy..."

Tu już nie wytrzymujemy i parskami głośnym śmiechem... A ona patrzy na nas z wyrzutem... próbuje się gniewać... ale za chwilę razem z nami pokłada się ze śmiechu. A maluchom tego tylko trzeba i zaraz obaj zaśmiewają się do łez... Aleśmy się naśmiali... Drzwi ledwo trzymały się w zawiasach... O, te drzwi... nie zamykały się nawet na pięć sekund... Dzieciaki bez przerwy... Nie zwracaliśmy uwagi na te drzwi... Ciągłe się śmialiśmy... latami... Co tu było śmiechu... *(cisza)* W ogóle ich nie zauważaliśmy... Miałem wrażenie, że tam nie ma żadnych drzwi... Przechodziliśmy lekko i swobodnie... z jednej przestrzeni w drugą... z jednego pokoju do drugiego... Jakby płynąc w powietrzu... Było coś takiego... Jakaś lekkość... może to młodość...

Nie przywiązywaliśmy wagi do żadnych drzwi... Przez całe lata nawet o nich nie pomyślałem... Jak o oddychaniu... One nie kryły w sobie żadnego podtekstu... ukrytego sensu... żadnego memento... ich istnienie było czysto leksykalne... nie mieszały się do mojego życia... pozostawały neutralne... Można powiedzieć, żyłem bez drzwi... Wolny... Mój Boże, co tu było śmiechu!...

Scena 2

Głęboki półmrok. Rozpoznać można jedynie sylwetkę i twarz Starca II, który nerwowo krąży po pokoju, przystaje na chwilę, by powiedzieć kilka zdań i rusza dalej. W głębi – niewyraźne zarysy, jakby półek, przedmiotów, sylwetek... Są niewidoczne, ale ich obecność jest wyczuwalna.

STARZEC II. ...Są czystą niedorzecznością... jakkolwiek by na nie spojrzeć... Sam fakt ich istnienia jest niedorzecznością... Ich pochodzenie... Więcej niż pewne, że są dziełem przypadku... i to najbardziej absurdałnego pod słońcem... Smutną omyłką... Tragiczną bezmyślnością... Tak, to właściwe słowo – tragiczna bezmyślność... Kiedy młoda ludzkość nie wiedziała jeszcze, co czyni... W pomroce dziejów... *(cisza)* Nierozważna młoda ludzkość... Ileż wyraźnych znaków przemawiało przeciw ich powstaniu... Nie przypadkiem w proch się obróciła Wieża Babel... To był znak... wyraźna przestroga... zła wróżba... Pochopnie zlekceważona... przeoczona... pozostawiona bez odpowiedzi... nie odgadnięta... *(cisza)* Ileż wyraźnych znaków i żaden nie odczytany!... Co tu daleko szukać, weźmy taki potop... Noe posłuszny przykazaniu zebrał budulec i wszystko, co potrzebne do zbudowania arki, i piątego dnia był już gotów. Zbudował arkę i wznosił na niej dom sto dwadzieścia łokci wysoki, podzielił go

na sześć pokładów, a na każdym piętrze zrobił dziewięć pokoi. Wydrążył otwory do odprowadzania wody, z zewnątrz wymalował arkę smołą, a od środka uszczelnił żywicą. Nappełnił amfory oliwą, sezamowym i gronowym winem. Załadował na pokład rodzinę, sługi, wszystkie nasiona, a do tego dzikie zwierzęta, trzodę z pastwisk i ptaki z nieba. I zasmołował drzwi.

I koniec, kropka. A o nich ani słowa. Nie ma ich. Nie istnieją. Ani w przykazaniach, ani w samej arce. Nie ma ich w Bożym Planie, który w innych sprawach jest aż nadto drobiazgowy. To myśmy je wymyślili i pomnażamy je w nieskończoność. Wszędzie... Gdziekolwiek spojrzeć... Dziesiątki. Setki. Tysiące. Miliony i miliardy...

Pytanie – po co nam one?... Co nam dają?... Czy bez nich nie umiemy żyć?... Co nam każe reprodukować je bez końca?... Cóż za haniebna niewola!... Czy są jak powietrze albo chleb?... Moim zdaniem są całkiem zbędne. Niepotrzebne. Jak szkodliwa narośl. Pasożyt. Tysiące ludzi doskonale obywają się bez nich i są szczęśliwe... (*cisza*)

Ale nie wszyscy. Większość dała się zaślepić ich blaskiem. Ich pozorną głębią. Fałszywą gładkością. Przejrzystością. Żłudną perspektywą... One umieją czarować... uzależniać... Wmówić człowiekowi, że widzi tylko dzięki nim... są czyste jak lza i beznamietne jak lód... Trudno o coś bardziej przewrotnego... I obłudnego... A udają najlepszych przyjaciół... (*cisza*) Nawet nie chcę nazwać ich po imieniu... Gdyby ode mnie zależało, wykreśliłbym ze słowników to pojęcie... Zakazałbym, aby ten dźwięk kalał powietrze... Eksterminowałbym wszystkie... Co do jednego... (*po chwili*) To przez nie nie mogę korzystać z pokoju... Stale muszę siedzieć w schowku albo w łazience... A tam strasznie wilgotno... Z kranu kapie... Prawda, że przez pierwsze piętnaście minut się tego nie słyszy... Ale za to potem... nerwy nie wytrzymują... W schowku nie ma kranu, ale nie da się tu dłużej usiedzieć... Jest ciemno, a ja nienawidzę ciemności... nachodzą mnie różne myśli... Ale prąd kosztuje... I nie wolno mi zapalać światła. (*cisza*)

Gdyby ich nie było, mógłbym sobie chodzić po wszystkich pokojach. Przeglądać książki, raz jedną, raz drugą. Albo nabijać fajkę przy stole. W salonie. I nie musiałbym ciągle odwracać fotela tyłem... (*cisza*)

Twierdzą z całą stanowczością, że to niedorzeczność nawet z architektonicznego punktu widzenia... To naruszenie całości!... Pogwałcenie istoty!... Deformacja jedności!... I w imię czego? Zeby zrobić o k n a!...

A czy mrowisko ma okna?... Albo dajmy na to – ul, najdoskonalsza forma, jaką stworzyła natura. To niedorzeczne, że akurat człowiekowi zachciało się okien!... Zeby miał któreśdy wpadać wiatr, deszcz, spaliny, zgrzyt tramwajów, benzyna, warkot samochodów, dudnienie trąb, insekty, osy, muchy i motyle, skórki od jabłek i niedopałki papierosów, skrawki papieru, kurz, puch kwitnących topoli, skaczące wróble, popiół, fenol i mgła, złodzieje, lubieżnicy, zaduch, ludzki krzyk i psie ujadanie, suche liście, pestki oliwek.

Cokolwiek robisz, ciągle musisz pamiętać o oknie... Zawsze mieć je na względzie... W myśli... "Nie przy oknie, bo cię zawieje...", "To okno jest w złym

miejscu...", "Nasze okno wychodzi na morze...", "Nie kładź tego pod samym oknem...", "Kiedy się obudzisz i otworzysz oczy: zobaczysz przez okno..."

Cóż za nieszczęsny los... Idiotyczna tyrania, którą człowiek sam sobie narzucił... Równie dobrze moglibyśmy się obejść bez okien... W przyrodzie one nie istnieją... Lisie nory, pieczary, dziuple, igloo, gniazda, kryjówki i schronienia, jurty, wigwamy i co tam jeszcze – nie znają okien... A to są pierwowzory... Modele matki natury... (*cisza*)

Gdziekolwiek napotkam, wszędzie wydzieram to słowo – "okno"... Nożem, nożyczkami, gwoździem, paznokciem... Wydrapuję albo zamazuję... Gdyby to ode mnie zależało, wykreśliłbym je z ludzkiej pamięci... Samo pojęcie i miliony jego zastosowań... (*cisza*)

Zapalę sobie na chwilę światło... W tej norze ciemno jak w rogu... I myśli do reszty mnie zagryzą... Przekręcę kontakt, o tak, tylko na jedną chwileczkę...

Scena 3

Ulica. Tłum przechodniów. Cudzoziemiec, Przechodzień, Biznesmen, Obywatele, Policjant, Sprzedawca i Fotograf pojawiają się kolejno. Głowy większości przechodniów skierowane są w górę, ku niewidocznemu oknu na osiemnastym piętrze... W tłumek gapiów wchodzi człowiek z walizką, najwyraźniej cudzoziemiec... człowiek z innego miejsca...

CUDZOZIEMIEC. Co się stało? Skąd tu tyle ludzi?

PRZECHODZIEN. Nie widzi pan? Wyrzucają starca.

CUDZOZIEMIEC. Starca! Skąd go wyrzucają?

PRZECHODZIEN. Z góry. Niech pan patrzy – szesnaste, siedemnaste, osiemnaste piętro.

CUDZOZIEMIEC. Ależ to makabryczne!...

BIZNESMEN. Komu, komu! Lunety, lornetki, kolorowe, trójwymiarowe... Podziwiajcie z bliska lecącego starca! Sezonowa obniżka cen! Kto nie chce kupić – może pożyczyć! Dla uczniów i studentów zniżki specjalne!...

OBYWATEL I. Poproszę jedną. Trójwymiarową.

Biznesmen zatrzymuje się i podaje mu lornetkę.

POLICJANT (*wchodzi*). Obywatele, proszę przechodzić, przechodzić! Nie gromadzić się pod oknem. Stary spadnie wam na głowy, a potem jak zwykle wszystko będzie na policję! Rozejść się, rozejść! Co to, nie widzieliście, jak starca wyrzucają?!...

OBYWATEL II. Patrz pan, ale się uczepił tego gzymsu!

OBYWATEL III. Idę o zakład, że nie wytrzyma dłużej niż dwie minuty.

OBYWATEL II. E, jeśli gzyms się nie urwie, spokojnie wytrzyma z siedem. Widać, że stary jeszcze całkiem żwawy.

OBYWATEL III. Zakład?

OBYWATEL II. Stoi. O pięć kawałków.

Przecinają zakład.

OBYWATEL III. A ten przy nim w oknie to kto?

OBYWATEL II. To z gminy. Sprawdza, czy podatki zapłacił.

Patrzą w górę.

SPRZEDAWCA (*z całym asortymentem*). Komu, komu, cukrowa wata, okulary słoneczne, pestki słonecznika. Składane krzeselka... Parasole... Komu, komu!

OBYWATEL III. Potrafią myśleć tylko o podatkach. Lepiej by zrobili porządek ze swoimi służbami wyrzucającymi... O... wszystko zwalają na rodzinę i krewnych...

OBYWATEL II. E, kto tam dziś zatroszczy się o obywatela...

OBYWATEL I. Ej, panie, ta lornetka wcale nie jest trójwymiarowa!...

Kłóć się z Biznesmenem.

FOTOGRAF. Komu, komu! Pamiątkowe zdjęcia ze spadającym starcem!...

Zdjęcia ekspresowe! Zdjęcia z lecącym starcem w tle!

POLICJANT (*wchodzi*). Rozejść się, nie tamować ruchu... Rozejść się...

OBYWATEL IV. Przepraszam, panie policjancie, ale w celu uniknięcia podobnych incydentów gmina postulowała przecież, aby zgrupować wszystkich kwalifikujących się do wyrzucenia starców w niedzielę na stadionie i załatwić to za jednym zamachem przed meczem.

POLICJANT. Owszem, ale ci z totka się nie zgadzają. Chcą mieć wyłączność na ten rodzaj usług... Rozejść się!...

Scena 4

Fasada wysokiego bloku. Pośrodku, na siódmym piętrze wisi starzec, kurczowo trzymający się parapetu. Wisi nad odchlanią. Pod nim życie toczy się normalnym rytmem – przechodnie się spieszą, dzieci gonią się na wrotkach, przejeżdżają samochody, sprzedawcy wyładowują skrzynki z winem ze stojącej ciężarówki, beapński pies przebiega ulicę...

STARZEC III. Mówili, że nie będzie wiatru... Tylko lekki ruch mas powietrza... Ale jak lekki – tego nie mówili. Chcieli pewnie przez to powiedzieć, że będzie bezwietrznie... bez najlżejszego podmuchu. Ale nie powiedzieli, żeby się asekurować... Meteorolodzy zawsze się asekurowają... To, co mnie owiewa, nie poruszyłoby nawet wałki na wodzie... Lekki prąd powietrzny – tak go zdaje się nazywają... I dopiero na wysokości siódmego piętra... Na dole pewnie ani dmuchnie... To nawet przyjemne uczucie – nie huśta, tylko jakby pieści... Nie przypuszczałem, że po drugiej stronie okna może być tak przyjemnie... (*po chwili*) Co prawda trochę mi zdrętwiała lewa ręka... ale to w końcu normalne...

w moim wieku... Prawa jest całkiem w porządku, albo w ogóle już jej nie czuję... No, ale nogi mam, trzeba przyznać, w pierwszorzędnym stanie... Zawsze byłem mocny w nogach... W szkole nie miałem równego sobie w krosach przełajowych... I na studiach... Tylko że są jakby cieplejsze niż zwykle... Ale to nawet i lepiej. Z takiego lekkiego przewiania można się przeziębici... Od nóg najłatwiej złapać katar... *(po chwili)* Zawsze wierzyłem w moją rodzinę... Mogę śmiało powiedzieć, że jestem z niej dumny. Tak, myśmy nigdy nie byli tacy jak inni... Łączyło nas przywiązanie... tak, to właściwe słowo, było między nami szczególne przywiązanie, nie umieliśmy bez siebie żyć... pewien rodzaj czułości... o której nigdy nie mówiliśmy... Ale wyraźnie się ją czuło... Emanowała zewsząd... Nawet z mebli... ze starej komody... z zasłon... Zawsze ją odczuwałem... I zawsze byłem z niej dumny... Proszę, nawet teraz: innych starców wyrzucają... jak gruszki... z okien, z balkonów... i to nawet z kuchennych... a mnie nie wyrzucili... Absolutnie... Po prostu lekko mnie wypchnęli, leciusieńko, można powiedzieć – po synowsku, na drugą stronę okna... I zamknęli okno... Ma się rozumieć z całym szacunkiem... należnym rodzicowi... Żadnego tam ryglowania czy zatrząskiwania przed nosem... Można by rzec – całkiem bezgłośnie... Wiadomo – moja krew... Trudno właściwie powiedzieć, że jestem na zewnątrz. Jestem, jakby się wyrazić – po drugiej stronie... O, dla osy, która teraz pełza po szybie w pokoju, ta "druga strona" jest w środku... Koniec końców to są dwie strony tego samego, znaczy się, okna. Wnętrze, zewnątrz – rzecz bardzo względna... Zależy od punktu widzenia... ta osa wiele by dała, żeby znaleźć się na moim miejscu... *(cisza)*

Najważniejsze to mieć prawo wyboru... Ja mogę tu sobie wisieć, ale mogę i skoczyć... Sam o tym decyduję... Mogę wisieć, powiedzmy, piętnaście minut... Albo pięć... Albo pół godziny... To zależy wyłącznie ode mnie... To jest właśnie wolność, czyli prawo wyboru. Prawo podejmowania decyzji. Ja je mam. A więc jestem wolny. Mogę analizować sytuację... bez pośpiechu... rozważyć wszystkie "za" i "przeciw"... i podjąć decyzję... Wszystko zależy ode mnie... Mój los jest w moich rękach. A iluż ludzi może się poszczycić, że wszystko zależy wyłącznie od nich?... Większość nie ma nawet wpływu na zakup porannej gazety... *(cisza)*

Zimno mi w jedną nogę... powinienem był włożyć kaptcie... Ale właściwie może i lepiej, że ich nie włożyłem... Obciążałyby mnie... Jakieś pół kilo więcej. Mam szczęście, że nie jestem jakimś grubym staruchem... Ręce by nie wytrzymały... Zawsze miałem dobrą przemianę materii... Mój organizm spala wszystkie tłuszcze... Ale też nigdy się nie przejadałem... *(po chwili)* Co to za krzyk?... Tak nagle się urwał... Wyrzucili kogoś przez okno... Z drugiej klatki... Głos jakby znajomy... Był co prawda trochę spięty, nawet podenerwowany... Ale nie aż tak, żebym go nie poznał... Mój przyjaciel z sąsiedniej klatki... Zawsze reagował bardzo emocjonalnie... W naszym wieku nadmiar emocji nie jest wskazany... Z pewnością się zdenerwował, kiedy otwierali okno... Nie potrafił tego ukryć... *(cisza)*

Nie, niemożliwe, żeby to był deszcz, z pewnością się mylę... Przy takiej słonecznej pogodzie... Nie można już wierzyć żadnym prognozom... Pomijając

fakt, że mogę się przeziębnić, to mokre zawsze jest cięższe niż suche... Chociaż z drugiej strony, nie jest źle orzeźwić się od czasu do czasu... Kropla wody jeszcze nikomu nie zaszkodziła... W końcu człowiek w siedemdziesięciu pięciu procentach składa się z wody... I życie wyszło z wody... O, przestało... Zdaje się, że podlewali skrzynki piętro wyżej... Otwarli okno i wystawili konewkę... Jeśli w pokoju był starzec, musiał się bardzo przejąć... Choćby mieć nerwy jak postronki, w obliczu otwartego okna trudno zachować spokój... Nogi się uginają... Serce wali jak młotem... Mózg rozpala się do czerwoności... No cóż, nie wszyscy potrafią się z tym pogodzić... Jakby bardziej humanitarne było wyrzucanie nas do domu starców... Życie zrobiło się ciężkie, kto tam ma dziś głowę troszczyć się jeszcze o starych... Emerytura starcza na trzy dni... Trzeba być generałem, żeby jakoś wyżyć. Dzieci myślą inaczej niż my. A my – inaczej niż one... Mają swoje dzieci, a ich dzieci – swoje... I do tego ten ciągły brak czasu... Czyż to nie bardziej cywilizowany sposób – wyrzucić człowieka przez okno niż skazywać go na powolne umieranie w domu starców?... Albo żeby zadręczał własną rodzinę... O ileż bardziej moralne jest to, co robią Eskimosi – zostawiają uciążliwego starca wśród lodów... i białych niedźwiedzi... A poza tym to wcale nie jest obowiązkowe. Tu panuje pełna wolność... Każda rodzina może postąpić według własnego uznania... Może wyrzucić starca, a może go nie wyrzucić... Jak na przykład moja... Mnie po prostu przesunęli na drugą stronę okna... *(cisza)*

Oczywiście ten stan rzeczy nie może trwać wiecznie... Ale cóż na tym świecie jest wieczne? Czy można wiecznie siedzieć w fotelu, w bamboszach i wertować popołudniową gazetę?... Wszystko się kiedyś kończy... Więc dlaczego właściwie miałbym się przejmować bardziej niż ktoś, kto w tej chwili siedzi w fotelu i pali cygaro?... Zwłaszcza w moim wieku... Czyż to nie tak, jak z akrobatą, który chodzi po linie? Może w każdej chwili spaść... Ale może i nie spaść... Większość akrobatów chodzi po linie aż za długo... *(cisza)*

Najtrudniej przywyknąć do monotonii... Ciągle ten sam skrawek nieba, dwa blaszane kominki na przeciwległym dachu i chropowata powierzchnia parapetu...

Ani gołębia, ani kominiarza... Szary, nudny, smętny pejzaż... Jak sięgnąć okiem – ani żywego ducha... W dół nie patrzę, człowiek powinien patrzeć naprzód... Co prawda więzień skazany na dożywocie widzi w swojej celi dużo mniej... i nieporównanie dłużej... A ja w każdej chwili mogę sobie zmienić widok... Wszystko jest w moich rękach... W sensie najbardziej dosłownym... Nigdy nie sądziłem, że moje ręce potrafią tyle wytrzymać... Co prawda prawie już ich nie czuję i sam nie wiem, na czym właściwie wiszę, ale do wczoraj z trudem mogłem utrzymać w nich gazetę... Życie po drugiej stronie też ma swoje plusy... Człowiek się hartuje... Wyrabia w sobie cechy, które mogą mu się jeszcze kiedyś przydać... w życiu... *(cisza)*

Kiedy się tak zastanowię, najbardziej brakuje mi prasy... Czy nie ma jakiegoś sposobu... Powiedzmy – poczta lotnicza... Czyż nie to powinno być jej zadaniem – doręczać pocztę ludziom, którzy znajdują się w powietrzu... Jesliby

rozumować logicznie – to jest właśnie jej rola... Ciekawe, kto wygrał sobotni mecz?... (*cisza*) Niekiedy cały urok życia polega na tym, żeby wszystko pozostało bez zmian... Wisisz tak sobie na słoneczku, łagodny wietrzyk cię pieści, przymykasz oczy... i sobie dumasz... Dumam sobie i dumam i coś mi się zdaje, że ten wietrzyk przestał być taki łagodny... No, właśnie... wzmaga się... To już normalny wicher... żeby nie wiem jak go tam nazywali w tych swoich prognozach... Ładna mi bezwietrzna pogoda... Tylko żeby nie zaczął mnie kołysać zbyt mocno... Nienawidzę huśtania... Od dziecka mdliło mnie na huśtawce... Straszny ból głowy, no i tak dalej... Kiwa mną jak wahadłem... Pamiętam z fizyki, że amplitudy się dodają... Ale przynajmniej dobrze, że jest ciepły... To nawet zdrowo się tak przeinhalować... Zupełnie jakby człowiek był w Alpach... lato... szum traw... szarotki... Lubię ciepły wiatr...

Oczywiście pod warunkiem, że to nie jest jakiś huragan... Nienawidzę skrajności... a już zwłaszcza huraganów... Ale nie słyszałem o jakichś gwałtownych huraganach w naszej części świata... Co prawda, wszystko się tak zmienia... z każdym dniem... że wcale bym się nie zdziwił, gdyby nagle wionęło jakieś tornado... Z drugiej strony jednak zmiany klimatyczne przebiegają najwolniej... Tajfuny są strasznie konserwatywne... O, przestało... Najwyraźniej to był tylko poryw... wiatru... Powietrze nagrzało się i uległo rozszerzeniu... Uff, brak mi tchu... (*cisza*)

A może skoczyć?... Lubię latać... Być Ikarem – to moje młodzieńcze marzenie... Pióra, lniane nici i wosk... I szybujesz ku słońcu... Właściwie najstarszym marzeniem człowieka było latanie... Ojciec Ikara, Dedal, ten, który wymyślił skrzydła, to był wielki człowiek... (*cisza*)

Marzenie o lataniu... Jest w zasięgu mojej ręki... Niewielu ludzi było tak blisko swojego marzenia... Czyż szczęście nie polega właśnie na tym, by żyć swoje marzenie... Które jest zarazem marzeniem całej ludzkości... Wielkie słowa... A sprawa jest dużo prostsza – puszczasz się i lecisz... Tu nie trzeba patosu... Zadnych przymiotników... Każdą ideę potrafimy zniszczyć słowami... Po prostu – leć i nic nie mów... A twoje marzenie się spełni... O, tak... Puściłeś się... A teraz leć...

Scena 5

Starzec znajduje się w przestworzach. Błękit, przejrzyste powietrze, przepływające obłoki...

STARZEC IV. Czy machać rękami... Dziecinada... Nie ma co udawać albatrosa... Na mewę też już jestem za stary... Tylko nie wiem, co zrobić z rękami... Ani ich skrzyżować, ani schować do kieszeni... Nogi – wyprostowałem, wiadomo... Widziałem, jak to robią albatrosy... Wyprostowane i lekko odchylone do tyłu... Ba, ale albatrosy mają błonę między palcami...

No, cóż, jest jak jest... Skoro nie ma błony, wypadaloby przynajmniej zataczać szerokie kręgi... A nie lecieć w dół jak kamień... Bardziej płynnie...

Interesujące, że powietrze jest takie rzadkie... Na pierwszy rzut oka wydaje się dużo gęstsze... No, trzeba jednak będzie rozpostrzeć ręce... tracę wysokość... szerzej... jeszcze szerzej i bardziej rytmicznie... Ciekawe, jak z tym sobie radzą albatrosy... Czy wychodzi im od pierwszego razu... Bo mnie nie wychodzi... Może na albatrosy nie działa przyciąganie ziemskie... Prędkość razy masa do kwadratu, czy jakoś tak... był chyba taki wzór... Ale na mnie niestety działa...
(cisza)

Spróbowałbyś złapać jakiś wstępujący prąd powietrza... żeby cię tak poniósł... Bo trudno to nazwać lataniem... Łatwo powiedzieć – złapać prąd wstępujący... Ale gdzie go szukać?... Głowę dam, że w tej chwili wszystkie prądy wstępujące uciekły na drugi kraniec świata... Tak to już jest... W jednym miejscu – cały rój prądów wstępujących, a gdzie indziej – szukaj wiatru w polu...
(cisza) Przestań wreszcie filozofować, tylko leć... Nie musisz wcale szybować jak albatros... w końcu zostałeś wyrzucony... wystarczy, że pofruniesz jak jakiś mniejszy ptak... powiedzmy, jaskółka... jaskółeczki to bardzo sympatyczne ptaszki... I bardzo pożyteczne... Smigają w powietrzu zupełnie jak ja... (cisza) Tylko czy ja na pewno śmigam... I dokąd... (po chwili) Tak czy inaczej jestem w drodze do nieba... Niezależnie od wszystkiego... Tam, dokąd zmierzają wszyscy... Kierunkiem nie muszę się martwić... Został już dawno ustalony... Gorzej, że z tym lataniem coś kiepsko... Trudno powiedzieć, że nam to wychodzi... Gdybyż tak mieć błonę... (cisza)

No dobra, dajmy już sobie spokój z tą jaskółką... Niepotrzebny przerost ambicji... to w końcu dopiero próbny lot... Bo weźmy takiego wróbla... To jest ptak z charakterem... Nie lata za dużo, ale akurat tyle, ile trzeba... Wróbelek właściwie podfruwa... Dobra myśl... Jak się tak zastanowić, to w sam raz dla mnie... Podfruwaj... Po prostu podfruwaj i wszystko będzie dobrze... Wcale nie musisz zataczać szerokich kręgów... ani śmigać... Po prostu sobie podfruwasz... To w sam raz dla ciebie... (cisza) Na Boga, rób coś, nie zachowuj się jak bezskrzydły ptak... jakieś tam... kiwi... albo dront dodo... ty jesteś prawdziwym ptakiem... małym, ale ptakiem... lotnym... Aby latać, potrzeba przede wszystkim odwagi... cała reszta przychodzi sama... Po prostu częściej musisz machać skrzydłami... Nie licz na żadne tam prądy wstępujące... Ze swoim pechem jak nic trafisz na zstępujący... Choćby był jeden jedyny w całej okolicy, jak amen w pacierzu nadziejesz się właśnie na niego... Ba, musiałeś się już na niego nadziać, na samym początku, bo lecisz w dół jak kamień... No, machajże, do diabła... Lecze... leć... Nie spadaj... (cisza) Lecę!... To nie do wiary, ale ja lecę... Czuję, że staję się coraz lżejszy... leciutki jak piórko... Moje kości robią się pneumatyczne, wypełniają się powietrzem... I temperatura mi rośnie... już mam prawie czterdzieści dwa stopnie... jak ptaki... o, mój Boże... na grzbiecie formuje mi się grzebień kostny... którego mocno trzymają się skrzydła... a cienkościenne worki powietrza wypełniają moje płuca... Rosną mi pióra... A palce spowijają elastyczna błona... O, Boże... trzymam się w powietrzu całkiem stabilnie... (po chwili) Co to jest to różowe... z przodu... Dziób... skąd tu dziób... No, nie... to jest mój dziób... I coś chrapliwego zatyka mi gardło... Czyżbym miał przeszyć

niebo ptasim krzykiem?! Kra-kra-a-a-a!... Aż dreszcz mnie przeszedł od tego krzyku... który sam wydałem... Tak krzyczą albatrosy... Rozdzierają powietrze swoją rozpaczą i samotnością... Coś mnie gwałtownie unosi w górę... prąd wstępujący... ciepły powiew... w górę... jeszcze wyżej... nawet nie muszę machać skrzydłami... trzymam je tylko rozpostarte... Do zobaczenia!... Szukajcie mnie na ptasich szlakach!...

Scena 6

Skromnie umeblowany pokój. Zwyczajne drewniane krzesło, na którym siedzi Stara Kobieta. Fotografie trzech chłopców na ścianach. Niewiele mebli. Stół. Szafa.

STARA KOBIETA. Sąsiedzi to poczciwi ludzie, ale mają na głowie swoich starców... Dalsza rodzina też im nie daje chwili spokoju... Nie ma dnia, żeby ktoś nie miał do nich sprawy... Gdzie im tam myśleć o mnie... Wcale ich nie obwiniam... Trudno do nich mieć pretensję... Życie zrobiło się ciężkie... A poza tym to należy do obowiązków gminy... Nie sąsiadów... To gmina powinna troszczyć się o swoich mieszkańców... Na co idą nasze podatki... Ale gmina tylko mydli nam oczy... Słowa... Obiecanki... Pokazowe akcje, w których topi się miliony, żeby na koniec uratować jakiegoś bezdomnego kundla... Ciągłe brakuje im pieniędzy... Stale obcinają im budżet... Od lat miejskie służby są niewydolne... Ciągłe to samo... Stale obiecują, że usprawnią procedurę... Przed każdymi wyborami demonstrują schematy różnych tam podnośników i pasów transmisyjnych... Ba, raz pokazali nawet prototyp. I co? Nikt go więcej na oczy nie zobaczył... Ani o nim nie usłyszał... Toż to zwykłe oszukaństwo... *(po chwili)* Ja jestem cierpliwy człowiek, ale miarka się przebrała... Od pięciu lat figuruję na liście gminy... Zakwalifikowali mnie do przypadków najpilniej potrzebujących pomocy... I naprawdę jestem takim przypadkiem... Obiecywali, że wszyscy z listy będą obsłużeni w ciągu dwóch tygodni, no, góra do miesiąca. Prawda była... Wciskają swojaków... Zawsze znajdzie się jakiś znajomek gminnego zarządu... Ledwo się ten korowód swojaków skończy, rozpisują nowe wybory, ta partia przegrywa, przychodzi inna... I w pierwszej kolejności urządza swoich znajomków... To już się robi nie do zniesienia... Co za kraj... Jeśli jesteś jakimś waciakiem albo masz pieniądze, po prostu płacisz i dostajesz, co ci się należy... Albo gmina sama zjawia się w podskokach. Ja nie jestem żadnym ważniakiem, w tym sęk... Moi rodzice też nie byli... W całej rodzinie nie ma ani jednego prominenta... I co z tego?... Jestem uczciwą wdową, człowiekiem jak wszyscy inni... O, tymi dwiema rękami wykarmiłam troje dzieci, i nikt nie może mi zarzucić, że czegoś im brakowało... Czy to moja wina, że wszyscy trzej wyjechali do Ameryki... Chcę tylko, by traktowano mnie jak człowieka – to tak wiele? *(po chwili)* Ale widać w dzisiejszych czasach to też luksus... Nierówność jest w natarciu... Jeśli masz pieniądze, w trzy dni cię obsłużą... A tacy jak ja muszą czekać latami... Biednym zawsze wiatr w oczy... A korupcja tak się rozpano-

szyla, że aż dziw, że Pan Bóg nie zamieni całego tego miasta w słup soli... Jak jaką Sodomę...

Nikt dziś nie pożałuje człowieka... Potrafią walczyć jak lwy w obronie jakiegoś tam chwastu, bo jest na wymarcu, ale żeby tak zająć się zwykłym człowiekiem – to nie ma komu... Ledwo sami załatwią sobie wyrzucenie, zaraz zapominają o innych... Ludzkie uczucia, jeśli w ogóle kiedykolwiek istniały, zanikły już z kretelem... Co dopiero mówić o moralności... Każdego dnia wyrzucają przez okna dziesiątki starców, a o mnie pies z kulawą nogą nie pamięta... Co, może sama mam skoczyć?... I to wyrzucają dużo młodszych... Jest niby specjalna ustawa o wyrzucaniu przez okna, ale jak się ma plecy, wszystko można sobie załatwić... A ja tu siedzę i czekam... Żeby zjawił się książę z bajki i mnie wyrzucił... Wszystkie moje przyjaciółki już kiedy wyrzucili, a ja ciągle czekam... Ależ ja jestem naiwna – wierzyć, że gmina kiedykolwiek wypełni swój ustawowy obowiązek... A kiedy ona co zrobiła dla swoich podatników?... Ale pensje to mają astronomiczne... E, zawsze tak było – jednych wyrzucają, a innych – nie... (cisza)

I naprawdę nie mam się czym wypłacić... zostały mi tylko te poźółkłe fotografie w pudełku... Obrączka ślubna... na wpół wytłuczone serwisy... i siedem kartek z Ameryki... ze starą datą... Jedyna nadzieja, że któryś z synów wróci... Ale gdzie tam... Nie odzywają się już od lat... A może... jednak... A nuż zjadą się na Wigilię... Też nie są najmłodszy... Będzie padał śnieg... wszędzie białe... I przyjadą... Albo chociaż jeden przyjedzie... Mój Boże, jak to będzie cudownie!

I mnie wyrzuca!...

Stara Kobieta dalej marzy, zapatrzona w czas, który minął, albo ten, który nadejdzie. Światło wokół niej stopniowo ciemnieje, a ona topnieje w mrocznym śniegu, o którym marzy.

Koniec